Zygmunt KWIATKOWSKI SJ

NASZA I PAPIEŻA - OJCZYZNA

> Ucząc się Ojczyzny [...] karmiliśmy się obficie literaturą okresu romantyzmu, chętnie sięgaliśmy po powieści Sienkiewicza, fascynował nas mroczny patos obrazów Grottgera. Nie była to edukacja, ale raczej proces wtajemniczania, rodzaj inicjacji. Czuliśmy się kontynuatorami powstańczej tradycji naszych ojców. Oni stanowili dla nas wzorzec, ale i moralne zobowiązanie. Im bardziej nasilała się propaganda, tym bardziej zagłębialiśmy się w tradycję.

Ojczyzna to wielkie drzewo. Widać jego pień, koronę, konary. Nie widać korzeni. Widać drzewo zielone, wyschłą gałąź, żółknące liście, nagie gałęzie, pokryte śniegiem lub szronem. Nie widać natomiast tego, co dzieje się wewnątrz pnia, jakie tam zachodzą procesy, a przecież to one decydują o losie drzewa – wpływają na jego wzrost i trwanie.

Trudno jest pisać o korzeniach, chociaż to one decydują o moim spojrzeniu na Ojczyznę i sposobie pojmowania tej prostej i skomplikowanej zarazem sprawy. Pierwsze, co przychodzi mi na myśl, to Ojczyzna wypracowań szkolnych. W szkole dowiedziałem się, że słowo „Ojczyzna" trzeba pisać dużą literą. W szkole też uczono mnie myśleć o niej w odniesieniu do historii i w sposób uporządkowany. Szybko zrozumiałem, że zarówno interpretacja historii, jak i ów porządek ustalane są według partyjnych wytycznych; na forum oficjalnym o Ojczyźnie należało mówić zgodnie z nimi, mając prywatnie całkowicie odmienny pogląd na tę samą sprawę. Wszem i wobec było wiadomo, jakie treści są zabronione, jakie zaś gratyfikowane – czekały za nie dobre stopnie i pochwały.

Ten sposób patrzenia na sprawy Ojczyzny był nie tyle równoważony, co zwalczany przez inny, który określiłbym jako konspiracyjno-romantyczny. Ujawniał on inne oblicze prawdy: prawdę prześladowaną i tragicznie doświadczaną przez historię. Poznawałem ją bynajmniej nie z książek. Bolesne doświadczenie dotykało bardzo osobistych losów osób, które znałem i które były mi bliskie. Współczułem im z głębi serca i z nimi, rzecz jasna, solidaryzowałem się. Z tego też powodu nie mogłem traktować propagandowego zakłamania jedynie jako zabiegu socjotechnicznego, formalnego li tylko sprzeniewierzenia się prawdzie: to była krzywda i obraza osób, ku którym kierowało się kłamstwo.

Stosunek do Ojczyzny posiadał w owym czasie wyraźną komponentę moralną, pozwalającą radykalnie rozstrzygać, kto jest prawdziwym Polakiem, a kto nim nie jest. Ucząc się Ojczyzny według owego drugiego modelu karmiliśmy się obficie literaturą okresu romantyzmu, chętnie sięgaliśmy po powieści Sienkiewi-

cza, fascynował nas mroczny patos obrazów Grottgera. Nie była to edukacja, ale raczej proces wtajemniczania, rodzaj inicjacji. Czuliśmy się kontynuatorami powstańczej tradycji naszych ojców. Oni stanowili dla nas wzorzec, ale i moralne zobowiązanie. Im bardziej nasilała się propaganda, tym bardziej zagłębialiśmy się w tradycję.

Słowo „Ojczyzna" łączyło się wtedy z takimi pojęciami, jak wolność i prawda, a także z hasłami: konspiracja, powstanie, bunt przeciwko obcej przemocy, walka o własną tożsamość i o historyczne przetrwanie. Refleksje polityczne prowadziły zawsze do punktu zwrotnego podziału Europy i świata – do Jałty, kiedy to Polska została rzucona w paszczę lwa, a w konsekwencji skazana na „budowę ludowego państwa" w kształcie wyznaczonym przez „wierchuszkę" z Moskwy.

Świat, który nas otaczał, nie był kolorowy. Był czarno-biały, jak zawsze wtedy, gdy wobec dramatycznego zagrożenia istnieje potrzeba silnej konsolidacji. Na scenie dziejów byliśmy my i byli oni – nasi przeciwnicy. My prezentowaliśmy prawdziwy nurt ojczyźniano-patriotyczny: byliśmy prawi, nie byliśmy zakłamani; oni natomiast byli zdrajcami, karierowiczami, moralnymi bankrutami kolaborującymi z politycznym zaborcą, fałszerzami prawdy w imię osobistych korzyści. My byliśmy dobrzy (albo też moglibyśmy być dobrzy, gdyby nie oni), oni zaś – niegodni szacunku. Podział ów zaciążył również na praktykach duszpasterskich. Niekiedy wystarczało powiedzieć kilka dosadnych słów na „czerwonych", żeby natychmiast zyskać miano dobrego kaznodziei i społeczny aplauz.

Taki sposób widzenia świata okazał się bardzo wygodny ze względu na swoją krańcową prostotę dzielenia świata na dwie części: swojską, w stosunku do której należało odnosić się przyjaźnie, i obcą, zaludnioną „nimi", którą należało traktować nieufnie i dostępnymi sposobami zwalczać. Służył on pierwszorzędnemu celowi, jakim było zniesienie wrogiego systemu, który został nam narzucony siłą i uniemożliwiał swobodny rozwój narodu i państwa. Niestety, to co niegdyś funkcjonalne, zaowocowało później prymitywizmem myślenia politycznego i irracjonalnym przekonaniem, że wystarczy tylko obalić system komunistyczny w naszym kraju, żeby niemal automatycznie znaleźć się za rajskimi podwojami społecznego dobrobytu i osobistego szczęścia.

Szczególne miejsce w czarno-białej polskiej rzeczywistości zajmował Kościół. Przez nas, wrogo nastawionych do władzy komunistycznej, prawie całkowicie utożsamiany był z narodem, tak jak partia była identyfikowana z systemem ideologicznej i politycznej przemocy. Kościół był „nasz", poza Kościołem byli „oni". Taki stan rzeczy wynikał w dużej mierze stąd, że Kościół, który dawał schronienie opozycji, stanowił jedyną instytucjonalną alternatywę wobec władzy komunistycznej. Istotny był także czynnik historyczny, pamięć o zaborcach z protestanckich Prus i prawosławnej Rosji, którzy prześladowali zarówno naród polski, jak i nigdy nie wysychające źródło jego narodowej identyfikacji –

Kościół katolicki. Okupacja hitlerowska i napaść ateistycznego Kraju Rad dopisały następny rozdział narodowej martyrologii i heroizmu spod znaku obrony polskości i wiary, przyczyniając się tym samym do ściślejszego związania Kościoła i narodu. Lata komunizmu utrwaliły i pogłębiły to zespolenie. Częstochowa stała się nie tylko duchową stolicą Polski, ale także stolicą ujarzmionego narodu, który „tutaj zawsze był wolny" i manifestował swoją opozycję w stosunku do narzuconej władzy. Nic więc dziwnego, że władze imały się różnych sposobów, żeby tę opozycję złamać (wystarczy przypomnieć fakt uwięzienia obrazu Najświętszej Marii Panny albo odmowę zezwolenia na udział papieża Pawła VI w uroczystościach tysiąclecia Kościoła w Polsce).

Rozpadowi komunizmu nie towarzyszyła katastrofa wojenna ani wybuch nuklearny. Konanie było szybkie. Pękła żelazna kurtyna, mur oddzielający Wschód od Zachodu został obalony na ulicach Berlina w sposób spektakularny. Gigantyczne imperium milionów ludzkich istnień, strzeżone przez potężne armie i niezwykle rozbudowany aparat policyjny, z dnia na dzień traciło swoją moc, karlało i przeobrażało się wewnętrznie. Nastąpił cud, do którego zbyt szybko się przyzwyczailiśmy i nie objęliśmy dotychczas świadomością pełni jego znaczenia.

Jest jeszcze jedno wydarzenie, bez przywołania którego obraz polskiej rzeczywistości nie tylko nie byłby pełny, ale byłby poważnie zdeformowany. Tym niesłychanie ważnym dla narodu i Kościoła w Polsce wydarzeniem był wybór kardynała Karola Wojtyły na papieża – zwornik i apogeum syntezy polskości i chrześcijaństwa, która dokonywała się przez długie wieki. Papież Jan Paweł II od początku swego pontyfikatu był solidarny z narodem, któremu odmówiono podmiotowości. Jako pierwszy publicznie z tym narodem rozmawiał i dawał dowody, że rozumie jego sytuację: jako głowa Kościoła, a także jako ziomek i brat. Wtedy, gdy system państwowy oparty był na kłamliwych podstawach, demaskował kłamstwo, ukazywał jego zło moralne i katastrofalne skutki społeczne. Występował w obronie skrzywdzonych, prześladowynych, zepchniętych na margines. Był głosem tych, którym zamknięto usta.

Bez Papieża i jego wyzwoleńczej rozmowy z Polakami nie byłoby „Solidarności", która zmieniła kierunek historii Polski i wpłynęła na historię powszechną. Jan Paweł II udzielał poparcia „Solidarności", ale nie angażował się w spory polityczne. Bronił patriotycznego zrywu, widząc w nim dziejowe zadanie Polaków, podkreślał ewangeliczne korzenie tego zrywu i przestrzegał przed politycznym wynaturzeniem – przed zapominaniem o człowieku w dążeniu do władzy i bogactwa. Przyczynił się do tego, że Polska miała swoją „godzinę", że znalazła się w centrum uwagi świata. Zadziwiła wówczas niejednym, także i tym, że strajkujący robotnicy uczestniczyli we mszy świętej, śpiewali pieśni religijne, klękali do modlitwy.

Obecnie pozycja Polski w świecie, a zwłaszcza w Europie, jest inna. Mamy jednak swoje zadanie do spełnienia również w przyszłości. Przekonania tego nie

trzeba opierać na idei mesjańskiego posłannictwa naszego narodu, ale na wierze w geniusz każdego narodu i istotną w nim rolę każdego człowieka. Do czekającego nas zadania musimy jednak dorosnąć.

Perspektywę dla naszej Ojczyzny odczytuję w nauczaniu Papieża i w jego postawie. Punktem wyjścia, pierwszym krokiem, powinna być umiejętna ocena i rzetelne wartościowanie polskiej rzeczywistości w szerszym planie historii powszechnej. Nie można już kroić rzeczywistości na białą i czarną, ale nie wolno też popadać w relatywizm moralny. Jan Paweł II wskazując na potrzebę skutecznego działania stoi niezłomnie na stanowisku obrony pryncypiów moralnych będących podstawą człowieczeństwa i ludzkiej godności. Przestrzega przed skutkami ich lekceważenia i przypomina przypadki takich tragicznych skutków dla cywilizacji XX wieku. W lekceważeniu zasad moralnych widzi śmiertelne zagrożenie dla człowieka.

Programy dotyczące rozwoju Polski i jej roli we współczesnym świecie należy rozpatrywać także w aspekcie moralnym, przyjmując jako kryterium dobro człowieka. Abstrakcyjne hasła humanizmu mogą służyć tylko doraźnym celom politycznym lub pozostawać w sferze „księżycowego" idealizmu. Jan Paweł II w swym nauczaniu przedstawia całościową wizję człowieka, uwzględniającą w pełni jego cielesność i wymiar duchowy, wizję zbudowaną na racjonalnych przesłankach i popartą przekonującymi argumentami. Przyznając pierwszeństwo dobru człowieka troszczy się o los każdego – niezależnie od przekonań politycznych, rasy, religii czy kultury – kto potrzebuje pomocy, kto jest zagrożony. Szczególnie, gdy zagrożenie sięga samego człowieczeństwa.

Platforma działania, którą proponuje nam Papież, jest bardzo szeroka i w pełni zrozumiała dla wszystkich ludzi dobrej woli. Odwołuje się w niej bowiem do solidarności i zasady braterstwa. Papież manifestuje swoją wiarę w jedyny godny Ewangelii sposób: służy innym, wielbiąc w ten sposób Boga. Obejmuje swoją troską nie tylko członków Kościoła katolickiego, nie tylko chrześcijan. Darzy szacunkiem także niewierzących. Uczy miłości należnej każdemu człowiekowi. Wskazuje tym samym, jaka powinna być nasza postawa.

My, wierzący Polacy, wraz z rodakami nie będącymi członkami Kościoła, jesteśmy dziećmi tej samej wspólnoty narodowej, spadkobiercami wspólnej narodowej tradycji, która czeka na nasz solidarny wysiłek jej zrozumienia i nowego ucieleśnienia. Na progu trzeciego tysiąclecia nowożytnej historii ludzkości w dialogu z innymi narodami mamy podjąć zadanie tworzenia cywilizacji miłości. Dla ludzi wierzących cywilizacja miłości nie jest jednak tylko szlachetną utopią: jest Ewangelią. Nie głosi jej najszlachetniejszy nawet polityk, ale Syn Boży, Jezus Chrystus, który umęczony na krzyżu zmartwychwstał i żyje, jest obecny w historii. I ten fakt stanowi naszą niezłomną nadzieję nawet wobec najsroższych przeciwieństw.

Papież Polak najlepiej służy Ojczyźnie, ucząc właściwej postawy wobec niej i dając przykład takiej postawy. Wzywa do miłości i zgodnie z tym wezwaniem

postępuje. Jest przykładem integralności moralnej. Każdego dnia zdaje egzamin z człowieczeństwa, egzamin, któremu jest poddawany na oczach świata. Nie ukrywa, skąd czerpie siłę i radość. Dzieli się ze wszystkimi najgłębszą i najintymniejszą tajemnicą swojego życia. Tą tajemnicą jest Jezus Chrystus. Jan Paweł II odkrywa – często nie rozpoznaną jeszcze – Tajemnicę każdego człowieka i Tajemnicę świata. Świadczy o Tym, w którym jest prawdziwe zbawienie, który jest Prawdą i Miłością. Jest glebą, do której sięgają korzenie wielkiego drzewa – Ojczyzny. Z tej gleby winna ona czerpać soki, aby się odradzać i wzrastać.